Drukarnia pod Arkadą

Florian Śmieja

Oficyna pod mostem

Dla K. i Cz. B.



Feliks Topolski, Krystyna i Czesław Bednarczykowie.

W przedsionku cuchnie farbą, paki przejście

ci tarasują, a przecież to tutaj

tłumniej się garną na duchów biesiady

niż na czwartkowe przyjęcia monarchów.

Jakże niepyszne stoją kuluary

spasionych bonzów od wielkiej żeglugi

bo strużce płynącej ze wzgórza Kaliopy

na próżno szukać by mniej oficjalnej

ścieżki nad tę, lichszych progów, schronienia

bardziej skromnego. Duch od rezydencji

stroniący bujniej za to popod strzechą

swobodny kwitnie. Tak na nagiej ścianie

orzeł kapłonowi też nie zazdrości

ni gęsi sytuowanej na grzędzie.

Wie, że gdy spadnie z błękitu piorunem,

truchleją serca tuczone, umilknie

głos podwórkowy. Bo gdzie się pokażą

orły, padlina zwykle niedaleko.

W Londynie pod przęsłami kolejowego mostu na Tamizie funkcjonowała przez kilkadziesiąt lat Oficyna Poetów i Malarzy, wydawnictwo i drukarnia Krystyny i Czesława Bednarczyków, znana nie tylko polskim emigrantom zamieszkałym w stolicy Zjednoczonego Królestwa i okolicy, ale również wielu Polakom odwiedzającym Anglię.

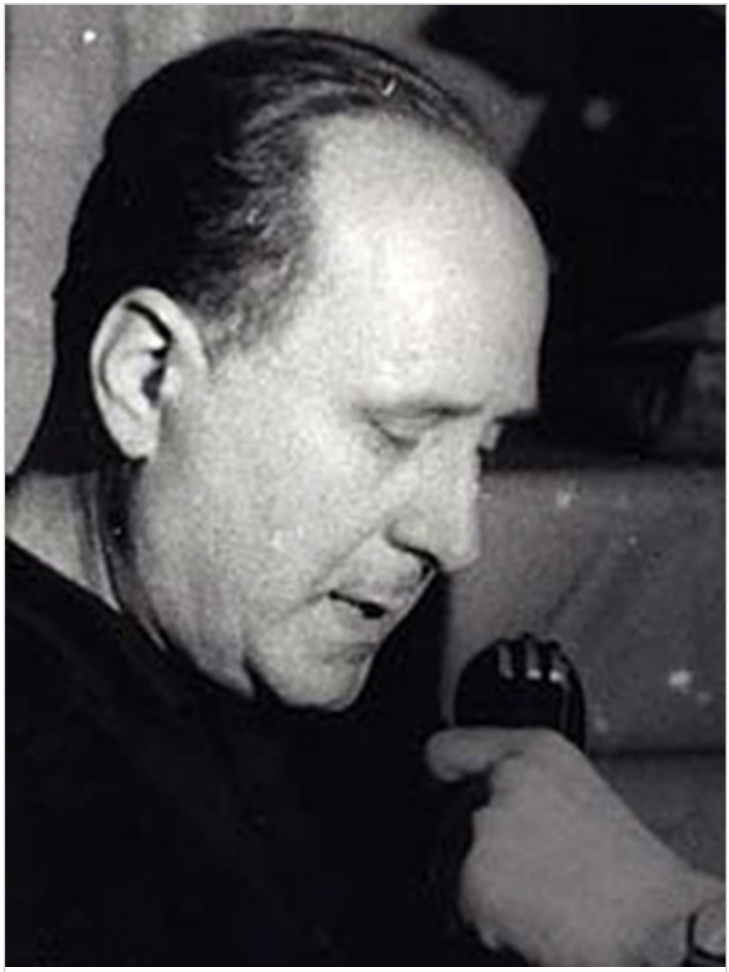


Krystyna Bednarczykowa, fot. Katedra Edytorstwa i Nauk Pomocniczych UJ.

Podwójna rola poetów i drukarzy wystawiała oboje na wiele niełatwych prób i kolei barwnego życia w wyziewach ołowiu i farby drukarskiej, wśród maszyn i stosów papieru w różnych stadiach obróbki. Były to jeszcze czasy przedkomputerowe, epoka żmudnej pracy zecerów i linotypistów, drukarek rotacyjnych i gilotyn. W takich to warunkach powstawały piękne

druki, które z czasem miały stworzyć długą listę w wiele setek tytułów idącego rejestru osiągnięć placówki.

Wydawanie książek Bednarczykowie zaczęli z pomocą pedałówki. Mieli ambicję zrzeszyć ludzi pióra i pędzla równouprawnionych w książce i piśmie. W erze zarysowującej się rewolucji technologicznej, która przeorała drukarstwo, wierzyli w przetrwanie rzemiosła i sztuki wielkiej tradycji reprodukcji książki. *Z Gutenbergem iść będzie dalej piękna książka, wiecznie istnieć będzie artysta książki i ręczna sztuka drukarska,* pisał Bednarczyk. Wierzyli, że pozostanie tęsknota do artystycznej, na ręcznej prasie tłoczonej książki. Nieraz jeszcze z sentymentem wspominam częste odwiedziny w drukarni. Przynosiłem czasem domowe kołacze, albo zakupione w pobliskiej cukierni ciastka, Bednarczykowie ogłaszali przerwę, parzyli kawę czy herbatę i zasiadaliśmy na czym było można, lustrując przy okazji drukujące się akurat książki i gotowe już egzemplarze. Wtedy też wymienialiśmy nowości, układali plany, snuli marzenia.



Czesław Bednarczyk, fot. Katedra Edytorstwa i Nauk Pomocniczych UJ.

Za małe pieniądze drukowałem w ich oficynie tomik poezji „Powikłane ścieżki”, a także wybór prozy poetyckiej Hiszpana, noblisty, Juana Ramóna Jiméneza, „Srebroń i ja”. Zygmunt Turkiewicz wybrał się do Irlandii, by napatrzeć się i narysować dla książki osiołki. Tekst był bardzo liryczny i piękny, a autor nagrodzonym poetą, dlatego druk był szczególnie

wypielęgnowany i czterokolorowy, co wtedy oznaczało czterokrotne przepuszczenie przez maszyny i czyszczenie wałków z farby. Ponieważ tytułowy osiołek nazywał się „Srebroń”, więc nagłówek i łeb protagonisty drukowane były srebrną farbą. Powstała śliczna książeczka, jedna z piękniejszych pośród gustownie wydawanych tomików, które wyszły spod prasy „Oficyny Poetów”.

Z tą pozycją wiąże się moje nierozważne pociągnięcie, kiedy to chcąc poprawić kilka błędów i dostarczyć tekstu już wyczerpanego, nieumiejętnie książeczke powieliłem w Kanadzie. Ponieważ wprowadziłem drobne zmiany w tekście, trzeba było wydanie opatrzyć innym numerem. Dość, że powielone egzemplarze wypadły bardzo niekorzystnie. Kiedy Krystyna Bednarczyk je zobaczyła, nakazała je wycofać i mocno mnie zbeształa. Dopiero wydanie całości tekstu (trzy razy dłuższego) dwujęzyczne we Wrocławiu salwowało sprawę hiszpańskiego arcydzieła.

Krewkości Krystyny Bednarczyk doświadczyłem uprzednio w latach redagowania miesięcznika „Kontynenty”, drukowanego przez jakiś czas u nich. Jego kolorowa okładka zmieniała się w zależności od posiadanych przez drukarnię na składzie papierów i kartonów. Raz umówiliśmy się, że będzie czerwona. Przeświadczony o tym pojechałem po pracy do drukarni i , o zgrozo, zamiast spodziewanej okładki czerwonej, zobaczyłem

zieloną. Nim się zreflektowałem, nieopatrznie wypowiedziałem słowo zdziwienia „zielona?” To wystarczyło, by Krystyna, która widocznie miała trudny dzień, ucapiwszy mnie za kołnierz, wyprowadziła z drukarni.

Bednarczykowie zapisali piękną kartę wydając przez czternaście lat dużego formatu zeszyty kwartalnika „Oficyna Poetów i Malarzy” w imponującej szacie graficznej. Wyszło ich w sumie 57. Bez wątpienia okazały to był periodyk, który stwarzał możliwości publikacji ambitnym pisarzom i plastykom z emigracji i z kraju.

Aczkolwiek raz po raz drukowałem w nim różne teksty, nie wykorzystałem należycie oferty. Obowiązki zawodowe i przeniesienie się do Kanady nie pozwoliły na pełny udział. Tym niemniej zdołałem wydrukować kilka poważniejszych prac, w tym przekład dwuaktowej komedii Federico Garcii Lorci, sztukę Argentyńczyka Osvalda Draguna, esej T.S. Eliota, opowiadania J.L.Borgesa oraz psalmy Ernesta Cardenala oprócz wierszy i recenzji. Na łamach „Oficyny” ukazały się po raz pierwszy przewrotne bajki Gwatemalczyka, Augusta Monterroso. Pamiętam też, że raz posłałem przekłady wierszy dwu kanadyjskich poetów, z którymi pracowałem w głównym, neogotyckim budynku uniwersyteckim o pięknej kwadratowej wieży, w London, Ontario. Jednym z nich był anglista James Reaney, dramaturg i poeta, drugim, młody asystent na

anglistyce, poeta i filmowiec, który później dopiero miał zasłynąć jako wspaniały powieściopisarz, Michael Ondaatje. Jego wiersz w „Oficynie” z pewnością był jego polskim debiutem. Nie doszedł natomiast do skutku sugerowany w jednym z listów tom przekładów poezji Louisa Dudka, poety kanadyjskiego polskiego pochodzenia, którego poznałem w Montrealu w 1971 roku.

Kiedy w latach sześćdziesiątych zamykał się miesięcznik młodych „Kontynenty”, mógł był znaleźć kontynuatora w Czesławie Bednarczyku, ale miał on własne plany i ambicje hołubione od wielu lat. Mógł też czuć do młodych pisarzy pewne rozczarowanie, a nawet żal, że wobec starszych kolegów nie wykazywali należnego entuzjazmu czy pietyzmu, że nie inspirowała ich twórczosc średniego pokolenia poetów, którzy na emigracji pozostali bez własnej platformy i rzeczników. Młodzi wprawdzie głosili także obcość poezji skamandrytów, nie opowiadali się też zbyt ciepło po stronie awangardy, ale równocześnie nie doceniali osiągnięć poetów średniego pokolenia, nie brali ich sobie za wzór, a zerkanie na rówieśników w Polsce nie mogło się podobać.

W swoich wspomnieniach zatytułowanych „W podmostowej arkadzie” Bednarczyk oceniając krytycznie londyńską scenę nie pominął grupy młodych poetów skupionych przy piśmie „Merkuriusz Polski” a potem „Kontynenty”. Wyszliśmy w porównaniu z innymi, myślę, dość obronną ręką.

Nie zabierając głosu w imieniu wszystkich, sądzę, że wymienione w książce nazwiska naszych domniemanych wzorców wybrane zostały dość arbitralnie. Jerzego Niemojowskiego szanowałem za obsesyjną wręcz dedykację rzemiosłu poetyckiemu. Znalazł czas, by go w zupełności poświęcić pisarstwu i skupić się na swoim warsztacie. Tego tylko zazdrościć. Natomiast nigdy nie był mi wzorem czy mistrzem, jego utworów nie znałem dostatecznie, nie były w moim stylu. Podobnie mogę powiedzieć o Janie Brzękowskim. Nie spotykałem się z nim, nie korespondowałem, nie znałem jego wierszy. Tadeusza Sułkowskiego konsultowałem w sprawie przekładu prozy poetyckiej Jiméneza, jego poezje znałem i ceniłem, ale nie brałem wzoru. Zawsze mnie pociągała poezja Miłosza, wdzięczny byłem, że zechciał do nas przyjechać dwa razy. Zwróciłem się do niego z prośbą o współpracę i otrzymałem odeń tekst, który potem moi koledzy krytycznie roztrząsali. To wszystko. T.S. Eliota znałem jako tako, nie byłem weń zapatrzony. To, co pisze Bednarczyk o wpływach tych ludzi na naszą poezję, mnie raczej nie dotyczy.



Od lewej: Czesław Bednarczyl i Jan Darowski w Drukarni pod Arkadą, fot. arch. F. Śmieji.

Już w 1966 roku Czesław Bednarczyk omawiając antologię wierszy „Ryby na piasku” napomknął:

> Ma rację, wydaje mi się, Wacław Iwaniuk twierdząc, że grupa Kontynenty… prędzej czy później doczeka się swego

> historyka. Doczeka się choćby dlatego, że powstała w bardzo niecodziennych warunkach. Pamiętam doskonale nacisk gospodarzy i rodaków im pomagających kierowania młodzieży na studia techniczne, jak to się mówiło, i praktyczne. I właśnie pojawienie się grupy młodych ludzi interesujących się naszą literaturą i naukami humanistycznymi, mozolących się nad poprawną polszczyzną, piszących i ogłaszających wiersze i artykuły w „niepraktycznym" języku – musiało wzbudzić u starszych zrozumiałe zainteresowanie i dużo należnej sympatii.
>
> …Z radosną zazdrością patrzyłem na młodych zrzeszających się w imię polskiego słowa: czytałem zawsze z przyjemnością, choć zawsze przesadzone i na wyrost, wzmianki w prasie emigracyjnej o nich.

Chętnie się z powyższym zgodzę, a nawet nie protestuję, kiedy ciągnąc dalej powiada

> Łatwość druku, częste i za byle co dawane nagrody dla młodych adeptów sztuki poetyckiej tylko ich rozzuchwalało. Wieczory autorskie w kadzidlanym dymie i wzajemnych koleżeńskich pochwałach u wielu co najmniej wywoływały pobłażliwy uśmiech. Nawet Grydzewski drukował im, łamiąc zasadę, wiersze bez znaków pisarskich i wszystko małą

> literą. Tego mu chyba ortodoksyjni Skamandryci nigdy nie wybaczą.

No, ale jak wcześniej powiedziałem, nie wypadliśmy w sumie tak źle. Innym się dostawało mocniej, bo życie miewa swoje nieodzowne amplitudy. Nawet Bednarczyk później zauważył:

> gdy teraz spoglądam wstecz, widzę potrzebę istnienia obok siebie i pochwał i skrajnej nawet krytyki wraz z niechęcią ludzi usiłujących szkodzić.

Nie zdążył jednak, jak zamierzał, odpowiedzieć na atak kilku osób, które w „Kulturze" podpisały list w obronie domniemanie szkalowanego przez Bednarczyka Bronisława Przyłuskiego.

Nie godząc się na zarzut, 'że prawie wszystkich nie lubi',Bednarczyk odpowiedział w liście do „Kultury" (3/534 z 1992 roku), że to nieprawda, ale przyznał, że

> Nie lubi i nie szanuje tych tylko, którzy przywłaszczyli sobie pieniądze społeczno-państwowe, którzy brali i biorą od obcych pieniądze: obojętnie od czerwonych, czarnych czy białych, nie lubi przedwojennych endeków, którzy na

> emigracji udają filosemitów, nie lubi byłych komunistów udających dzisiaj ideowych patriotów, nie lubi socjalistów…

Bednarczykowie mieli piękny domek z pielęgnowanym ogródkiem, do którego uciekali po pracy spod hałaśliwego mostu. Czesław pisał rzetelne, cenione wiersze, pochodzące z dojrzałego, warsztatu, a świadczące o wyrobionym smaku autora i gustownie je wydawał. Krystyna debiutowała późno, ale zdołała uchwycić własny głos i pisała teksty, które się podobały.

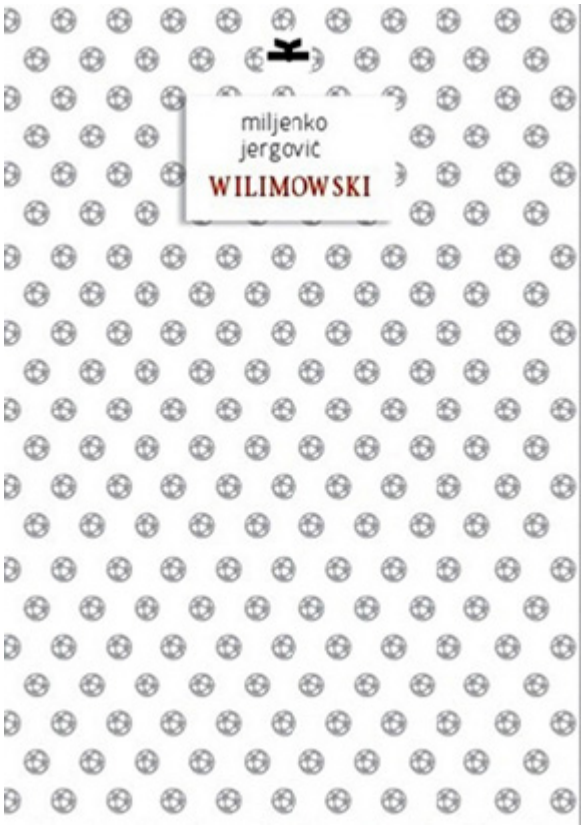
Nie da się zaprzeczyć, że oboje ciężko pracowali, znajdywali od czasu do czasu wsparcie i dobrych przyjaciół, ale nie potrafili wybić się na tyle, by wolni od koniunktur miejsca i czasu, mogli byli swobodnie i na dłuższą metę wydawać pokupne książki. Ich dzieło imponuje zważywszy skromne warunki lokalowe i ludzkie. Stanowili jedną z tych witalnych cząstek ofiarnej i patriotycznej emigracji, która już nie miała się doczekać godnych następców, gdyż była nietypowa i niepowtarzalna.

Oficyna z jej półtysięczną listą wydawnictw to pomnik wielkiego wysiłku, wprawdzie papierowy, ale trwalszy od spiżu.

Wszystko jest opowieścią. Miljenko Jergović: „Wilimowski”

Barbara Lekarczyk-Cisek

Jeśli coś nie zostało opowiedziane – tego nie ma. *Człowiek zapomina, a w końcu umiera. Nieopowiedziany* – twierdzi autor znakomitej powieści: „Wilimowski”. Bo wszystko jest opowieścią.



Gdzieś hen, na chorwackiej prowincji, do znajdującego się wysoko w górach hotelu, nazywanego przez tubylców Niemieckim Domem, zmierza dziwna karawana, której centrum stanowi lektyka z kalekim chłopcem. Rozmawiają osobliwym językiem, a chwilami po niemiecku. Ów język – *szeleszczący ostry i jękliwy przerażał i zdumiewał. Kiedy słyszeli go z daleka, zaczynali głośno śpiewać pobożne pieśni, żeby uchronić się przed jego diabelską mocą.* Cóż to za język tak przerażał okoliczną ludność? Otóż był to język polski – mowa podobna do ich mowy, a przecież odmienna. A skoro Polacy mówią takim językiem – sądzili tubylcy – musi to być niechybnie podstęp szatana. Skąd ten lęk przed polską mową i dlaczego Polacy znaleźli się w tej odległej krainie, opowiada najnowsza powieść znakomitego chorwackiego pisarza – **Miljenko Jergoviča**, laureata Literackiej Nagrody Europy Środkowej Angelus za prozę ”Srda śpiewa o zmierzchu w Zielone Świątki”.

Karadoz, czyli jak rodzi się opowieść

Kiedy w spokojnej wiosce pojawia się nagle tajemnicza

karawana, to trzeba ją jakoś opowiedzieć, aby zrozumieć, co to oznacza. Mieszkańcy jednak są zbyt lękliwi i ostrożni, a czasy są niepewne, więc lepiej nie zadawać pytań, bo mogą się okazać bardziej szkodliwe niż odpowiedzi. Tylko jeden z mieszkańców, zwany Amerykaninem, bo po trzydziestu latach pracy w hucie w Pittsburgu powrócił do wioski, oznajmia, że przybył Karadoz. Wprawdzie nikt nie wie, kto to taki, ale wszyscy udają, że rozumieją. I tak zaczyna rozchodzić się po wsi opowieść o Karadozie i jego orszaku, w której ludowe wierzenia mieszają się z najnowszymi wiadomościami.

Na końcu opowieści – twierdzi autor – *znajdzie się też najbardziej trwała prawda o tym wydarzeniu, którą dzięki jednemu jedynemu słowu pamięta się i przekazuje siedemdziesiąt lat później, kiedy zapomniane zostało wszystko, co się naprawdę wydarzyło, i kiedy już nikt we wsi nie pamięta niezwykłej kolumny wędrującej do Niemieckiego Domu wczesnym rankiem 4 czerwca 1938 roku.*

Nie ma już żadnych materialnych śladów tamtego wydarzenia, zapomniane zostało nawet samo wydarzenie, ale imię Karadoza trwa. Zostanie przypomniane po latach, w 1978 roku, kiedy papieżem wybrano rodaka Karadoza. Wtedy wszystko ożyje na nowo. Opowieść bowiem nie tylko trwa, ale kształtuje ludzi, którzy ją usłyszeli – bez niej byliby zupełnie inni:

Nawet jeśli w Mirilach Frankopanskich jej nie pamiętają, opowieść ta, jak wiele innych, zapamiętanych i niezapamiętanych, przekazywanych przez wieki, uczyniła ludzi takimi, jakimi są dzisiaj.

Każdy ma własną opowieść, ale czasami człowiek umiera niedopowiedziany

Wszyscy bohaterowie powieści mają swoje historie, które niekiedy łączą się i przeplatają w sposób zgoła nieoczekiwany. Gdyby jeden z nich – emerytowany krakowski profesor, nie wspomagał jednego ze swoich studentów, ten być może nie przeżyłby swojej choroby i nie opowiedział po latach swemu darczyńcy o niezwykłym hotelu, zwanym Niemieckim Domem, który znajduje się gdzieś hen, koło Crikvenicy. Tam właśnie podąży emerytowany profesor ze swoim chorym na gruźlicę kości synem, aby… No, właśnie, nie można jednoznacznie odpowiedzieć na pytanie, po co. Po przybyciu instaluje na wzgórzu antenę i uruchamia własnoręcznie sporządzone radio, by wysłuchać transmisji z meczu Polska – Brazylia, który przeszedł do historii, gdyż był to jedyny przypadek, kiedy jeden piłkarz – Ernest Wilimowski strzelił aż cztery gole. I chociaż mecz skończył się przegraną Polaków 5:6, to jednak jego bohater stał się kimś szczególnym i bliskim dla profesora Tomasza Mieroszewskiego i jego chorego syna. I nie tylko dla nich.

Opowieść rozwija się w głąb. Poznajemy piękną i dramatyczną historię miłości profesora i jego młodej, przedwcześnie zmarłej pięknej żony, a także ich syna Dawida, owego Karadoza z opowieści mieszkańców wsi. Przedwcześnie dojrzały i niezwykle wrażliwy chłopiec o wielkiej wyobraźni, oswojony ze śmiercią jak mało kto, zdaje się rozumieć więcej od innych. Mało tego, jest właściwie zadowolony ze swego stanu, pomimo cierpienia. Uważa, że zdeformowane chorobą ciało jest Bożym błogosławieństwem i znakiem misji, która jest mu przeznaczona. To on zdecyduje o wygranej Polski. A jednak staje się inaczej.

Wilimowski – bohater dwudziestej trzeciej minuty



Ernest Wilimowski, 1936

r.

Mecz, który 4 czerwca 1938 roku rozegrał się pomiędzy Polską i Brazylią, a ściślej – transmisja z tego meczu – są punktem kulminacyjnym powieści. Szczególnie zaś istotne jest to, co rozgrywa się w dwudziestej trzeciej minucie, kiedy to Ernest Willimowski toczy walkę z potężnym Brazylijczykiem Hérculesem – niczym Dawid i Goliat. Kiedy sędzia zarządza rzut karny, wśród polskich kibiców, którzy znajdują się na emigracji, zapada wielka cisza.

Dotychczas śpiewali o Polsce, która wciąż jeszcze nie zginęła, choć samotna i opuszczona stoi w pustce, na ziemi niczyjej, między dwiema oddalonymi od siebie nieczułymi potęgami.

Wtedy do piłki zbliża się Wilimowski, który jest Górnoślązakiem, tzn. Niemcem i Polakiem zarazem, ale na ten moment staje się tylko Polakiem, choć kilka lat później będzie służył w niemieckim wojsku, i wyrównuje wynik meczu. A potem gra w uniesieniu i rozpaczy jakiś swój własny mecz przeciw całemu światu, jakby chciał sprawić, aby nie zostali zapomniani – on i jego koledzy, kiedy – już wkrótce – nadejdzie czas śmierci i zapomnienia.

Wszystko jest opowieścią – zdaje się mówić Miljenko Jergović.

Opowieścią, która trwa, dopóki jest ktoś, kto ją snuje i ktoś, kto jej słucha. Jeśli coś nie zostało opowiedziane – tego nie ma. *Człowiek zapomina, a w końcu umiera. Nieopowiedziany*. Choć sam przyznaje, że bywają opowieści nieinteresujące, z całą pewnością nie należy do nich skromna rozmiarami, ale jakże piękna i pasjonująca opowieść o Wilimowskim.

Powieść „Wilimowski" Miljenko Jergovića ukazała się w wydawnictwie Książkowe Klimaty, w tłumaczeniu Magdaleny Petryńskiej.

Jak trwoga to do Basi

Rozmowa z Barbarą Kukulską – wiceprezes Rady Polonii Afryka Południe, redaktorką „Wiadomości Polonijnych" w Johannesburgu w Republice Południowej Afryki.



Republika Południowej Afryki, fot. Fotolia.

Janusz Szlechta: Jak trafiła Pani do Republiki Południowej Afryki. Dlaczego właśnie tam?

Barbara Kukulska: Jesteśmy z emigracji solidarnościowej. Wyjechałam z Polski z mężem i dwójką dzieci, wówczas już nastolatków, kilka godzin przed wprowadzeniem stanu wojennego. To była trudna decyzja i brawurowa. Mąż Marek – który był adiunktem na Politechnice Łódzkiej, z tytułem doktora inżyniera mechanika – podpisał kontrakt w Południowej Afryce, stąd znaleźliśmy się właśnie w tym kraju. I w swym zawodzie natychmiast po przyjeździe rozpoczął pracę. Dostaliśmy od razu mieszkanie: 6-pokojowy dom, z olbrzymią kuchnią, dwiema

łazienkami, garażem, pięknym ogrodem. Dom był wyposażony w nowe meble, nawet jedzenie było w lodówce. Warunki były wspaniałe. Mąż dostał też służbowy samochód.

JSz: A zatem mąż spełnił się na emigracji, znalazł swoje miejsce. A Pani?

BK: Ja też jestem inżynierem – włókiennikiem i odzieżownikiem. Zaraz po przyjeździe do RPA podjęłam pracę w fabryce, w swoim zawodzie – na podobnym stanowisku, które opuściłam w Polsce, bo zostałam szefem przygotowania produkcji. Dwie pensje, moja i męża, sprawiały, że musieliśmy płacić tak wysokie podatki, iż zdecydowaliśmy w końcu, że nie będę pracować. Pensja męża absolutnie nam wystarcza, ba, nawet mamy więcej pieniędzy niż wtedy, kiedy i ja pracowałam. A dzięki temu mogłam intensywniej zająć się działalnością społeczną.

JSz: Wiem, że wydaje Pani pismo „Wiadomości Polonijne" i dlatego właśnie została Pani zaproszona we wrześniu 2005 roku na XIII Światowe Forum Mediów Polonijnych do Tarnowa i na Śląsk. Co to jest za pismo, kiedy się narodziło, do kogo jest adresowane?

BK: Powstało w 1948 roku. Wówczas nosiło nazwę „Pod Krzyżem Południa". Mam parę archiwalnych numerów – było to bardzo ciekawe pismo. Potem jednak zmniejszyła się jego objętość do

kilku kartek, a zawartość ograniczała się do informacji o Polakach żyjących w Johannesburgu, imprezach polonijnych oraz do komunikatów. Przeżywało różne kryzysy, ale cały czas było wydawane. Ukazuje się 10 razy w roku, ma nakład 200 egzemplarzy.

Kiedy przejęłam kierowanie tym periodykiem, zmieniłam jego nazwę na „Wiadomości Polonijne" i poszerzyłam o przedruki artykułów z Polski, wiadomości dotyczące życia politycznego i kulturalnego w ojczyźnie. Staram się bowiem cały czas podtrzymywać w rodakach polskość i chronić mowę polską. Teraz pismo liczy 16 stron, czasami 18, ma format A4 i jest wydawane na naprawdę wysokim poziomie. Bo też i Polonia w Południowej Afryce jest elitarna. Bardzo dużo jest ludzi po studiach w Polsce: lekarzy, nauczycieli, inżynierów. Pismo jest czytane, o czym świadczą telefony będące reakcją na informacje czy artykuły. Często jest tak, że jeśli pismo dotrze w odległe zakątki, to rodacy odbijają na ksero po 10-20 egzemplarzy i rozsyłają dalej. To oznacza, że jest zapotrzebowanie na taką gazetkę. Czasami ktoś dzwoni albo pisze, aby mu przysłać egzemplarz.



Barbara Kukulska, Częstochowa, wrzesień 2005 r., fot. Janusz Szlechta.

JSz: Jak liczna jest redakcja? Kto finansuje pismo?

BK: Wszystko robię sama. Czasami pomaga mi moja córka Magda, która przepisuje teksty. Staram się oczywiście namawiać ludzi, aby pisali o sobie i innych, o różnych wydarzeniach, ale bardzo trudno jest osiągnąć ostateczny efekt – czyli artykuł. Jedynie moja mama Maria Dulska od czasu do czasu coś napisze.

Wiem, że na nią mogę liczyć, mimo że skończyła niedawno 96 lat. W Polsce była nauczycielką. Do dziś jest aktywna fizycznie i umysłowo. Na swoje 96. urodziny napisała bardzo ciekawy artykuł o tym, ilu to przeżyła papieży. Okazało się, że… dziewięciu. Urodziła się w 1909 roku, kiedy na Stolicy Piotrowej zasiadał Benedykt XV, a teraz doczekała Benedykta XVI. Nazywana jest „matką Polonii południowoafrykańskiej". Służy wszystkim radą i cieszy się wielkim szacunkiem. Dla mnie jest i powiernikiem, i doradcą, i pierwszym czytelnikiem. Jak usłyszę jej ocenę: *Basiu, jest dobrze. Nie zaniżaj poziomu!* – to jest to dla mnie największa pochwała, dodaje mi skrzydeł.

Pismo oczywiście nie przynosi żadnego dochodu, rozprowadzam je za darmo. Czasami ktoś da mi parę randów za gazetę. Mam stałych odbiorców, od których czasami dostaję dotację.

JSz: Jak liczna jest Polonia południowoafrykańska. Czy ma swoje organizacje?

BK: Polonia w Południowej Afryce, w rejonie Johannesburga i Pretorii – która jest zimową stolicą kraju (letnią jest Kapsztad) – liczy, według naszych szacunków, około 35 tys. osób. W Pretorii jest polska ambasada i konsulat.

Oczywiście, że mamy swoje organizacje. Ja jestem prezesem Zjednoczenia Polskiego w Johannesburgu. Założycielami tej

organizacji byli ci, którzy jako dzieci – przez Syberię – dotarli do RPA. Kiedy te dzieci dorosły, poczuły potrzebę utrzymywania kontaktów ze sobą i z krajem. I w ten sposób w Johannesburgu powstał Związek Osadników Polskich. Z tego związku wyłoniły się potem wszystkie polskie organizacje w Południowej Afryce. Jest ich teraz sporo: Zjednoczenie Polskie, Stowarzyszenie Techników, Stowarzyszenie Kombatantów i Lotników, do niedawna istniało Stowarzyszenie Lekarzy, Rada Polonii. Jest również szkoła polska. Niedawno zorganizowałam zespół taneczny.

Stworzyłam też grupę sybiraków. Z okazji obchodów 65-lecia zbrodni katyńskiej rozpropagowałam w RPA apel, aby wszyscy ci, których ojcowie, wujkowie czy bracia zginęli w Katyniu, zgłosili się do mnie. No i zgłosiło się 15 osób. Zrobiłam to po to, aby wysłać do zarządu Stowarzyszenia Rodzin Katyńskich w Warszawie informację o tych ludziach i zgłosić chęć współpracy.

JSz: Wróćmy do Zjednoczenia Polskiego – czym się zajmujecie?

BK: Organizacja liczy dzisiaj około 200 członków. Są też członkowie honorowi, rozsiani po całym świecie. Mamy liczne grono sympatyków, którzy uczestniczą w naszych spotkaniach, imprezach i uroczystościach. Przede mną prezesem Zjednoczenia Polskiego był przez 20 lat Jerzy Wallas. Dzisiaj liczy sobie 90 wiosen i mieszka w Durbanie, 600 kilometrów od Johannesburga.

Nazwałam go „tatą organizacji”, bo do dziś się interesuje naszymi problemami, często do mnie dzwoni i wspiera duchowo w różnych sprawach. Bywa, że całe noce spędzam przy komputerze, a w ciągu dnia dzwonię i jeżdżę, załatwiając różne sprawy czy pomagając rodakom w nieszczęściach. No bo jak trwoga, to do Basi!

Problemy są różne. W RPA można jechać samochodem 120 kilometrów na godzinę, ale bywa, że ludzie jeżdżą i 200 km. Kolej jest słabo rozwinięta, więc transport jest głównie samochodowy. Trasy są długie, na drogach jest mnóstwo ciężarówek, więc łatwo o wypadek. Jeśli wypadek ma Polak, który nie ma ubezpieczenia i nie zna języka, to wtedy często mnie proszą o pomoc. Mamy wielu polskich lekarzy, więc staram się ich mobilizować, aby bezinteresownie udzielili pomocy rodakowi. Przeważnie ze wszystkimi jestem po imieniu, bo to ułatwia kontakty.

Znałam kobietę, która wyszła na jakieś spotkanie biznesowe i nie wróciła. Po jakimś czasie znaleziono jej ciało. Prawdopodobnie było to morderstwo. Jej mąż był pochodzenia holenderskiego. Przepadł gdzieś wraz z 2-letnią córeczką. Dziadkowie, rodzice zabitej kobiety, poszukiwali wnuczki i nie mogli jej znaleźć. Wreszcie okazało się, że ojciec zostawił ją u znajomych Afrykańczyków i… zniknął na rok. Aby dziadkowie mogli zaopiekować się dzieckiem, musieli mieć decyzję sądu. Kiedy zwrócili się do mnie o pomoc, zajęłam się sprawą. Przemówiłam

do serc ambasadora i konsula. I rzeczywiście pomogli. Dziewczynka dostała obywatelstwo polskie i zajęli się nią dziadkowie. Była niedawno w Polsce. Teraz ma 10 lat.



Barbara Kukulska

JSz: Zjednoczenie Polskie przyczyniło się do postawienia pomnika Katyńskiego w Johannesburgu w 1981 roku. Podobno był to pierwszy taki pomnik poza granicami Polski…

BK: Trwają w tej kwestii spory. W Londynie mówią, że oni pierwsi postawili pomnik Katyński, bo już w 1976 roku. W

Australii taki pomnik stanął w 1980. Tyle że w Londynie pomnik znajduje się na cmentarzu, zaś australijski to wmurowana tablica w ścianę Domu Polskiego w Sydney. Tymczasem nasz, w Johannesburgu, jest to pomnik zbudowany w miejscu publicznym, na gruncie państwowym. Z okazji 20-lecia jego odsłonięcia zorganizowałam wielkie uroczystości, upamiętniające ofiary sowieckiej zbrodni w Katyniu.

Jest to pomnik unikalny. Wówczas, kiedy stanął, w Afryce Południowej obowiązywał przepis, że w miejscach publicznych nie wolno było stawiać krzyży. Jest tutaj wiele religii i chodziło o to, aby nie urażać niczyich przekonań. Dlatego architekci polscy wymyślili taki pomnik, aby nie budził zastrzeżeń. Stanęły więc dwie potężne bryły, z wybranym środkiem, a przez ten prześwit patrzy się w niebo i na tle nieba widać krzyż. Są ponadto wmurowane trzy tablice i ziemia przywieziona z Katynia.

JSz: Jest Pani również wiceprezesem Rady Polonii Afryka Południe. Organizacja ta próbuje spełniać rolę podobną do tej, którą pełni Kongres Polonii Amerykańskiej w USA. Czy jest możliwa jedna reprezentacja Polaków mieszkających w RPA?

BK: Jest to organizacja starająca się skupić organizacje polonijne i być ich reprezentantem. Do Rady należy sześć organizacji z różnych miast oraz Stowarzyszenie Kombatantów i Lotników. Dostaliśmy dwa miejsca w parlamencie

południowoafrykańskim. Jeden mandat właśnie ja sprawuję.

JSz: Czy utrzymujecie kontakty z Polską?

BK: Oczywiście, organizacja ta reprezentuje również Polonię południowoafrykańską w kontaktach z polskim rządem i parlamentem. Udało się nam zainteresować Senat RP naszymi sybirakami. W 2004 roku zorganizowałam im wycieczkę do Polski. Niektórzy byli w kraju po raz pierwszy od chwili wywiezienia ich przez Rosjan na Sybir. Byliśmy przez dwa tygodnie goszczeni w Polsce, m.in. w Częstochowie. Była to 35-osobowa grupa, w większości ludzie około osiemdziesiątki, ale wszyscy doskonale znieśli trudy i nikt nie zachorował.

Była to specyficzna grupa osób – w 1940 roku zostali wywiezieni przez Rosjan na Syberię, w 1943 trafili do Republiki Południowej Afryki. 500 polskich dzieci, sierot, zostało przywiezionych w 1943 roku do RPA na czas wojny. Gościnny rząd – wówczas Unii Południowo-Afrykańskiej – przyjął te dzieci jako przyszłych obywateli. Zdecydowana większość tam została, założyła rodziny.

JSz: Mówiła Pani o kultywowaniu tego co polskie, o utrzymywaniu polskości. Czy ma to jakiś konkretny wymiar?

BK: Dwa lata temu założyliśmy Fundację Dziedzictwa Polskiego w Południowej Afryce. Jestem w ścisłym jej kierownictwie.

Fundacja ma za zadanie odszukiwać ślady po Polakach, którzy żyli w RPA i czegoś dokonali. Wiemy na przykład, że słynny pisarz Józef Konrad Korzeniowski (Joseph Conrad) mieszkał w tym kraju wraz z córką – w Petermagritsburgu koło Durbanu. Dużo pamiątek zostało po żołnierzach Polakach, którzy uczestniczyli w II wojnie światowej w mundurach armii brytyjskiej. W roku 1944 południowoafrykańscy lotnicy nieśli pomoc walczącej Warszawie. Z dumą mogę powiedzieć, że należę do komitetu obchodów rocznicy lotów nad Warszawę. Jeszcze kilku z tych lotników żyje. Co roku we wrześniu organizujemy obchody upamiętniające powstanie warszawskie i loty z pomocą dla powstańców. Te kontakty z Polakami dają im wiele radości.

Czasami łapię się za głowę, że już nie nadążam, za dużo tej pracy społecznej. Ale społeczników jest mało, a trzeba przecież coś robić, wyjść na zewnątrz. Mnie daje satysfakcję to, że można coś dla Polonii zrobić.



Johannesburg

Barbara Maria Józefa Kukulska *do Republiki Południowej Afryki wyjechała w 1982 roku wraz z mężem i dwójką dorastających dzieci: Magdaleną i Wojciechem. Mąż podjął pracę w biurze projektowym w zakładzie petrochemicznym, a Barbara od pierwszych chwil aktywnie włączyła się w pracę polonijną. Początkowo działała w miejscowości Secunda, gdzie była współzałożycielką organizacji Zjednoczenie Polskie w Secunda pod patronatem Zjednoczenia Polskiego w Johannesburgu. Po przeniesieniu się w styczniu 1984 roku na stałe do Johannesburga, podjęła działalność w organizacji Zjednoczenie Polskie w Johannesburgu. Pisała pod pseudonimem krótkie felietony i reportaże do periodyku „Komunikat", wydawanego przez Zjednoczenie. W 1998 roku została sekretarzem tej organizacji oraz współredaktorką „Komunikatu", który z biuletynu został przekształcony w pismo „Wiadomości Polonijne".*

W kwietniu 2000 roku, na Walnym Zgromadzeniu, została wybrana prezesem Zjednoczenia Polskiego w Johannesburgu. Jednocześnie ambitnie podjęła się pracy dziennikarskiej i wydawania periodyku „Wiadomości Polonijne". Pracę prezesa i redaktor naczelnej „Wiadomości Polonijnych" Barbara Kukulska wykonuje nieprzerwanie do chwili obecnej. Co ciekawe, jest osobą pełniącą najdłużej funkcję prezesa i redaktor naczelnej pisma „Wiadomości Polonijnych" w ponad 67-letniej historii Zjednoczenia Polskiego.

Barbara M.J. Kukulska: *„Ponad 16 lat jestem prezesem największej i najstarszej polonijnej organizacji w Południowej Afryce. W społeczne działanie włączona jest cała moja rodzina, do niedawna jeszcze czteropokoleniowa. Moja matka Maria Dulska dożyła pięknego wieku 101 lat i praktycznie do ukończenia stu lat aktywnie pomagała mi w pracy: była korektorką pisma „Wiadomości Polonijne", odbierała telefony i udzielała informacji. Teraz tę rolę przejął mój mąż Marek, który od kilku lat nie pracuje zawodowo i bez reszty poświęcił swój czas na wspieranie mojej działalności jako prezesa organizacji, ale również w pracy redakcyjnej.*

Nasza Polonia starzeje się, bo od lat nie ma dopływu nowej emigracji do Republiki Południowej Afryki. Młodzi, którzy pokończyli tutaj studia, wyjeżdżają w poszukiwaniu bezpieczniejszego życia. Zostają tu Polacy, którzy przybyli podczas II wojny światowej oraz ci z emigracji solidarnościowej. Ci pierwsi czują się już za słabi, aby gdzieś tam rozpoczynać życie od nowa. Natomiast wśród Polaków, którzy przestali pracować zawodowo, jest silne pragnienie powrotu do Polski, względnie podążenia za dorosłymi dziećmi i wnukami, które wybrały życie w innych krajach: Australii, Nowej Zelandii, Wielkiej Brytanii, Kanadzie czy Stanach Zjednoczonych.

Kilka rodzin wróciło do Polski po ponad 30 latach. To są bardzo trudne decyzje i nie każdy ma odwagę i siłę na sprostanie tym

wyzwaniom. W podjęcie decyzji zaangażowane są całe rodziny, ale łączy się to z „rozdartym sercem", gdyż często bywa tak, że jedno z dzieci osiedliło się z rodziną na kontynencie australijskim, a drugie na amerykańskim. Wtedy wybór emerytowanych rodziców pada na Polskę. Powrót do kraju ojczystego po wielu latach to wielki stres związany z poznawaniem nowych realiów życia w Polsce.

My też rozważamy ewentualny powrót, gdyż w Krakowie przed dziesięciu laty osiedlił się nasz syn Wojtek z rodziną, a córka Magda mieszka w Johannesburgu. Jednak, gdy wnuk Filip skończy niedługo studia, to kto wie, czy córka nie przeniesie się wraz z nim do Anglii.

Praca na rzecz Polonii to ciągła dyspozycyjność, praktycznie non stop, przez wszystkie dni w roku, o każdej godzinie.

Tak, jest to uciążliwe, ale jednocześnie daje olbrzymią satysfakcję wypływającą z tego, że pomaga się potrzebującym. Bezinteresownie można służyć innym – i to jest tajemnica sukcesu i motor do działania. To również daje siłę wewnętrzną do przeciwstawienia się słabościom".

Wywiad pochodzi z książki Janusza M. Szlechty „Widziane stamtąd. Wybór wywiadów z Polakami żyjącymi gdzieś w świecie", wyd. Instytut Wydawniczy Kreator, 2017 r.



”

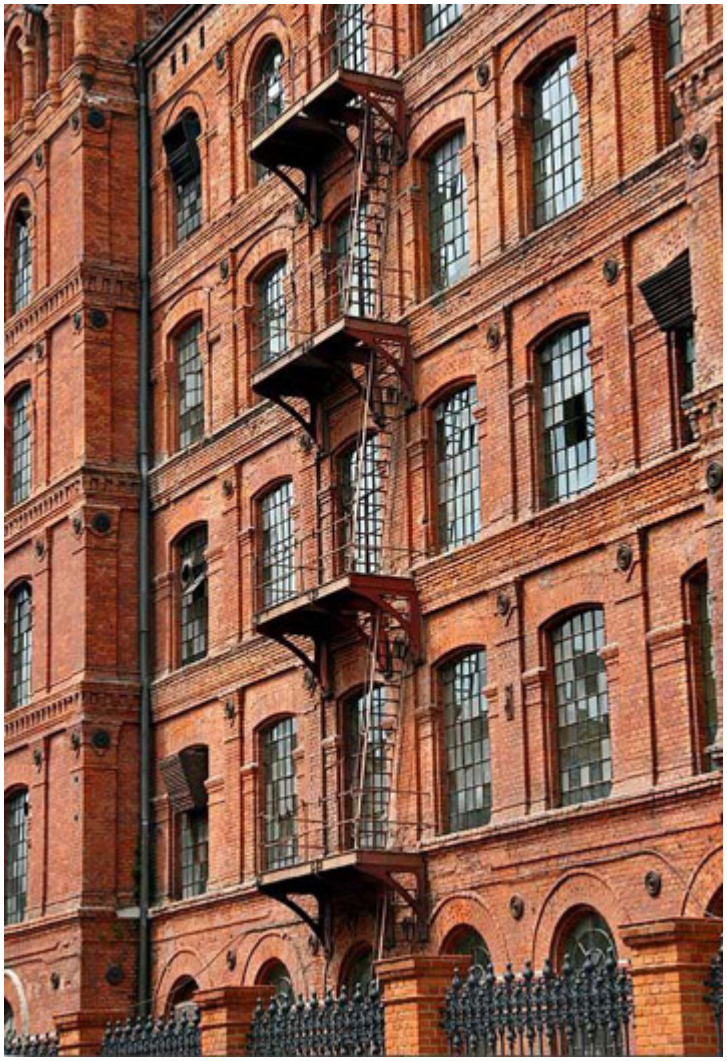
Poeta pamięta.

Stanisław Januszko (1914-2002).

Florian Śmieja

Wiersze Stanisława Januszki przez kilkadziesiąt lat ukazywały się na łamach polonijnej prasy w Toronto oraz w osobnych zbiorkach fundowanych przez jego licznych, lojalnych przyjaciół. Poetą był z zamiłowania. Pisał z serca płynące niewyszukane rymy:

> Jestem synem ludu, fabrycznym robotnikiem i moim braciom robotnikom pisałem i piszę proste, zrozumiałe wiersze. Unikam i nie używam słów trudnych, niecodziennych, kwiecistej retoryki i wieloznaczności metafor. Poszedłem i dążę w przeciwnym kierunku – jak najbliżej treściwej prostoty i sielankowej śpiewności.



Żyjemy w czasach alienacji poety czy artysty, kiedy to czytelnik, widz albo słuchacz nie nadąża za szukającym za wszelką cenę oryginalności czy sensacji, twórcą. Ten ostatni przestał zresztą liczyć na odbiorcę, martwić się, czy pisze lub tworzy wyłącznie ze snobizmu dla podobnego do siebie konsumenta czy elitarnego krytyka, w kompletnej społecznej próżni. Z drugiej strony, odbiorca przestał popierać niezrozumiałe dla niego teksty czy cenić bohomazy nie słuchając zaklęć domniemanych znawców hołdujących kreowanej modzie i wymyślających happeningi lekceważące a często niepokojące doświadczenia i odczucia ludzi. Trywialność tematu tuszowana ekstrawagancją i pretensjalnością form coraz częściej maskuje brak talentu ambitnych szarlatanów. Zabrakło naszej epoce odważnego dziecka, które by całej tej zabawie krzyknęło, że "król jest nagi".

Pozostały więc połacie życia opuszczone przez współczesnego artystę goniącego za mirażem i rezygnującego z kontaktu z

odbiorcą. Są one chętnie zawłaszczane przez popularną, młodzieżową muzykę. Pozostają również na placu duchy mniej obrazoburcze, nie uważające nowości za najważniejszy atrybut dzieła, nie gardzące tradycyjną budową wiersza i nie udziwniające języka, preferujące klarowność nad zawirowania i mętniactwo, nad modne niezrozumialstwo. Nie lękał się Januszko, że go brali za poetę naiwnego lub gorzej jeszcze nazywali różni konstruktorzy rebusów, których żaden czytelnik nie brał do rąk, a jeżeli wziął, to nie pochwalił, że dostarczyły mu estetycznego przeżycia.

W wydanym w 1973 roku debiutowym tomiku "Wszystko przemija", Januszko prosząc o życzliwe, bratnie przyjęcie wyznał:

> W długim mozolnym ćwierćwieczu w chwilach wolnych od pracy zarobkowej w fabryce, napisałem mnóstwo wierszy.

W tych jego lirykach, satyrach, aforyzmach i wierszach okolicznościowych, pobrzmiewa nuta patriotyczna, męska, bez szowinizmu czy megalomanii. Jest to uczucie szczere, synowskie, szanujące prawa innych lecz karcące bez ogródek tych, co "Na Polskę ciągle złośliwie warczą". Chcę wierzyć, że Januszko w czasie długiej choroby nie czytał tekstów różnych dziwaków pomstujących np. na poetów, którzy wracają do Polski, bo powrotem swym "zdradzają Amerykę"!

On, żołnierz Września i AK nie wstydził się przyznać do tęsknoty:

> I cóż ja zrobię, że pod obcym niebem
>
> na ziemi szczodrze darzącej mnie chlebem
>
> śnią mi się często nasze polskie niwy.

A przecież jego życie w Kanadzie od 1948 roku nie było wcale łatwe. Był imigrantem skromnym, wdzięcznym, człowiekiem może już starej daty. Nie uważał, by mu się od innych należało. Nie identyfikował się również z bracią zjednoczoną nad kuflem. Przyglądał się bez entuzjazmu ziomkom, których tak widział:

> Więc tańczą i piją rodacy ochoczo
>
> Nietrzeźwi, bezmyślni przez życie się toczą.

Był obserwatorem a i wizjonerem czasów, które miały nadejść u schyłku jego życia. Doświadczył jeszcze lektury i najświeższych ekscesów żywiołu przybyłego do Kanady pod koniec wieku, ludzi lubujących się w używaniu rynsztokowego języka, z lichymi

manierami dziennikarskimi, szalbierzy z dobrej szkoły, skoro nie wyleczyli się przez przyjazd na ten kontynent, pokazujących, że przeszłość naznaczyła ich na zawsze. Zajmą się ich językiem z pewnością zawodowi poloniści i udokumentują ten smutny okres polonijnego dziennikarstwa w Toronto ukazując spustoszenia w psychice ludzi, którzy myśleli, że się salwowali z dziedzictwa PRL-u chroniąc się w Kanadzie i tworząc balowo-kabaretową emigrację..

Januszko pisał wiersze gładkie, niewyszukane, zgrzebne ale nieskalane, posługiwał się czystą polszczyzną, wnosił niepożytą nutę nadziei Miał, mówiąc językiem Herberta, smak, gardził smaczkiem. Sądzę, że to do jego mało nowatorskich, staroświeckich tekstów, a nie do brukowych dzienników zaglądał będzie kiedyś socjolog i historyk, by znaleźć wiarygodne świadectwo i komentarze do stanu naszej sytuacji psychicznej i społecznej, bo był z tych nielicznych, którzy mogli o sobie powiedzieć:

> Nie wchodzę w żadną stęchłą kałużę
>
> I wszystkim śmiało spogladam w oczy.

Jego słowa będą probierzem, korekturą nieskromnych hagiografii i kupnych panegiryków różnej maści uzurpatorów i

hochsztaplerów, którzy są zaprzeczeniem jego etosu służby i bezinteresowności.

Joanna Sokołowska-Gwizdka: Wszędzie mieszkają ciekawi ludzie.

Rozmowa z Joanną Sokołowską-Gwizdka 0 literackich i dziennikarskich fascynacjach oraz o najnowszej książce poświęconej teatrowi emigracyjnemu.



Joanna Sokołowska-Gwizdka podczas XX Międzynarodowych Targów Książki w Krakowie, fot. Jacek Gwizdka.

Barbara Lekarczyk-Cisek: Czytając Pani książkę o teatrze emigracyjnym zastanawiałam się nad tym, co by było, gdyby pozostała Pani w Polsce i nie wyjechała do Kanady, a potem do Stanów Zjednoczonych. Być może ta książka w ogóle by nie powstała albo też powstałaby jakaś zupełnie inna. Była Pani przecież znaną dziennikarką, a także pracownikiem naukowym UŁ…

Joanna Sokołowska-Gwizdka: Mieszkając w Polsce byłam związana z uczelnią – pracowałam w Katedrze Literatury Staropolskiej Uniwersytetu Łódzkiego, gdzie zajmowałam się teatrem staropolskim. Bardzo lubiłam wejść w świat archiwów i tropić literacko-teatralną przeszłość, np. nigdy niepublikowane sztuki teatralne z początku XIX wieku, pisane przez dobrze wykształconego i utalentowanego nauczyciela dzieci Czartoryskich i Potockich, a później dyrektora Biblioteki im. Ossolińskich – Adama Kłodzińskiego. W Dziale rękopisów Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Wrocławiu dotarłam także do oryginału wspomnień XIX-wiecznego pamiętnikarza, Franciszka Ksawerego Preka. Był niepełnosprawny i bardzo dużo pisał. Obracał się w środowisku arystokracji, bywał na różnych przyjęciach, a że był świetnym obserwatorem, pozostawił po sobie wiele interesujących opisów. Od niego dowiedziałam się, że sztuki, które wyciągnęłam z zapomnienia, widział sam Aleksander Fredro i mógł się na nich wzorować. Takie poszukiwania mnie fascynowały, bo czułam się jak detektyw.

Skąd zatem dziennikarstwo?

Praca na uczelni trochę mnie izolowała od ludzi, musiałam więc znaleźć taką dziedzinę, która by mi tę izolację rekompensowała. Dziennikarstwo było do tego celu idealne. Wyjeżdżałam na różne festiwale w Polsce i za granicą, poznawałam ciekawe historie i interesujących ludzi. Miałam dzięki temu kontakt z nowościami

w dziedzinie kultury oraz z pasjonatami, którzy ją tworzyli. To doświadczenie różniło się od obcowania z literacką przeszłością, zamkniętą w archiwach. Praca na uczelni i dziennikarstwo uzupełniały się więc znakomicie.

Można by więc domniemywać, że gdyby napisała Pani swoją książkę w Polsce, dotyczyłaby tych teatralnych odkryć…

Zapewne tak. Zresztą, mam nadzieję, że taka publikacja powstanie. Otóż podczas promocji mojej książki o teatrze emigracyjnym miałam spotkanie na Uniwersytecie Łódzkim, które przygotowała moja dawna koleżanka z Katedry Literatury Staropolskiej, prof. Maria Wichowa. Po latach wspominałyśmy dawne czasy i moją pracę na uczelni. Profesor Wichowa zaproponowała mi powrót do moich dawnych odkryć. Postanowiłyśmy, że postaramy się o wspólne wydanie tych sztuk. Być może się uda.

Byłam także wielokrotnie akredytowana na Festiwalu Chopinowskim w Nohant we Francji i poznałam francuską biografkę Chopina, autorkę książki: ”Chopin u George Sand. Kronika siedmiu lat”. Sama byłam zafascynowana tym kompozytorem. Pisywałam codzienne relacje z festiwalu do ”Rzeczpospolitej”.

Może więc napisałaby Pani również biografię Chopina? Ale wróćmy do Pani książki „Teatr spełnionych nadziei. Kartki z życia emigracyjnej sceny” – skąd wziął się pomysł jej napisania?

Pierwszym impulsem, który sprawił, że zainteresowałam się tym tematem, było odkrycie, że jest to znakomita, profesjonalna scena. Miałam inne wyobrażenie o scenie polonijnej, sądziłam, że jest trochę ”kulawa”. Kiedy obejrzałam pierwszy spektakl **Marii Nowotarskie**j o Hemarze, byłam zaskoczona. Zobaczyłam wspaniałych aktorów, którzy jednocześnie cudownie śpiewają. Później dowiedziałam się, że są to profesjonalni aktorzy i śpiewacy, występujący na scenach kanadyjskich i to z wielkim powodzeniem. Potem chodziłam na wszystkie spektakle i pisałam pełne zachwytu recenzje. Propozycja napisania książki wyszła od twórców **Salonu Poezji, Muzyki i Teatru**. **Jerzy Pilitowski**, który był wówczas menadżerem tego teatru, zaproponował mi napisanie książki w bardzo uroczystych okolicznościach. Zbliżała się okrągła rocznica istnienia tej sceny, stąd myśl, aby tę działalność utrwalić.



Maria Nowotarska w sztuce Kazimierza Brauna „American dreams”. fot. Stanisław Cisek.

Jaki miała Pani pomysł na tę książkę?

Koncepcja powstawała w toku pisania. Zaczęłam od zebrania wszystkich recenzji, które powstały na temat spektakli tego teatru, a było ich dużo, gdyż scena powstała w 1991 roku. Nagrywałam też wywiady, które dziś są już zupełnie unikalne, ponieważ wiele osób już nie żyje. To jest blisko 270 godzin interesujących rozmów! Mąż Marii Nowotarskiej – Jerzy Pilitowski był architektem, umysłem ścisłym i dążył do tego, aby książka miała ściśle teatrologiczny i dokumentacyjny charakter. Natomiast Maria Nowotarska chciała, aby to był bestseller i aby książka dobrze się czytało. Próbowałam połączyć te dwie tendencje, co było rzeczą bardzo trudną. W rezultacie powstało dużo więcej materiału, niż zostało opublikowane. Mogłaby więc powstać jeszcze jedna publikacja, *stricte* naukowa. A ponadto jest jeszcze wersja angielska, dopasowana do amerykańskiego odbiorcy.

Powstała zatem publikacja z wielkim rozmachem i o dużym potencjale.

Dlatego też był problem z jej wydaniem. Stąd decyzja, aby zdecydować się na wersję popularyzatorską.

A czy trudno było się Pani ograniczyć?

Ojej, było mi żal każdego zdania! Każde było okupione wysiłkiem, więc trudno się dziwić, że było mi szkoda (śmiech).

Teatr, który Pani opisała, zachował to ”coś”, co było wartością teatrów lat 70. i 80. Wtedy na scenie nie eksperymentowało się aż tak bardzo, ale był to teatr autorski, realizowany w oparciu o znakomite teksty.

Myślę, że zasługą **Marii Nowotarskiej** było to, że dobry krakowski teatr przeniosła na emigrację. Miała znakomite pomysły inscenizacyjne i sięgała po znanych autorów, przede wszystkim po wielką polską poezję. Odegrało to szczególną rolę w edukacji młodzieży. Przeprowadziłam w polskich szkołach ankietę, z której wynikało, że młodzi są dumni ze swego polskiego pochodzenia i że jest to zasługa teatru. Młodzież bardzo przeżywała przedstawienia teatralne – zdziałały o wiele więcej niż sobotnie nauczanie w polskiej szkole.

Jaki był czas przygotowania takiego spektaklu i jak częste były premiery?

Przygotowanie spektaklu trwa wiele miesięcy, a premiery powstają mniej więcej raz do roku. Maria Nowotarska włącza w ich przygotowanie specjalistów z różnych dziedzin, którzy wyemigrowali do Kanady, gdzie często zajmują się czymś innym, a teatr staje się dla nich możliwością spełnienia, ich pasją. To

jest ogromny wysiłek, wiele pracy, a spektakle są jednak ulotne. Zostaje trochę fotografii, ktoś zarejestruje przedstawienie na wideo, ale nie jest to stała scena, która regularnie powtarza włączone do repertuaru przedstawienia. Choć teatr pokazuje także sztuki wyjazdowe, napisane dla dwóch aktorek przez Kazimierza Brauna, układające się w cykl prezentujący wielkie Polki – emigrantki. Są one prezentowane w różnych miejscach Ameryki Północnej i Południowej oraz w Europie, gdzie mieszkają duże grupy Polaków. Stają się sposobem na propagowanie polskiej kultury na świecie. Od pewnego czasu sztuki te są tłumaczone na różne języki i mogą je oglądać także cudzoziemcy.



Agata Pilitowska w sztuce Kazimierza Brauna „American dreams”. fot. Stanisław Cisek.

Wielką wartością Pani książki jest chyba właśnie to, że jest to książka o ludziach, a to zawsze jest ciekawe. Przypuszczam, że również dla Pani wartością dodaną był fakt, że mogła porozmawiać z wieloma interesującymi artystami. Jak zapamiętała Pani te spotkania?

Spotkania i rozmowy zaowocowały przyjaźniami, dotyczy to głównie tych osób, z którymi spotykałam się najczęściej. Weszłam wręcz w życie rodziny Pilitowskich i czułam się kimś bliskim. Przywiązałam się też do śp. Jasi Jasińskiej – artystki teatru Hemara. Była aktorką przedwojenną ze Lwowa i przeszła cały szlak bojowy z Armią Andersa – występowała tam w teatrze. Mieszkała niedaleko mnie w Toronto i okazała mi wiele ciepła i serdeczności.

Dzięki tej książce poznawała Pani także środowisko, próbując się jakoś zakorzenić w Kanadzie…

Istotnie, wyjechałam do Toronto, nie znając tam nikogo. W tej sytuacji teatr i rodzina Pilitowskich stali się moją ”rodziną zastępczą”. Dzięki temu zaczęłam od nowa budować wokół siebie środowisko, tworzyć więzi. Po każdej mojej przeprowadzce musiałam pokonać wielki stres, ale później okazywało się, że wszędzie mieszkają ciekawi ludzie. To bardzo wzbogaca. Pomagał mi fakt, że pobyt w kolejnym mieście zaczynałam od

wieczoru autorskiego, związanego z moją poprzednią książką o Helenie Modrzejewskiej. Opowiadałam o tej niezwykłej postaci i jej amerykańskim sukcesie, organizowałam wystawy pamiątek, które zbieram od lat i tak budował się krąg nowych znajomych, a z czasem przyjaciół.

A czym się różnią spotkania autorskie w Kanadzie i USA od tych w Polsce?

Podczas spotkań autorskich w Polsce pytano mnie m.in., jaką rolę spełniają takie ośrodki, jak Salon Poezji, Muzyki i Teatru, stworzony przez Marię Nowotarską i jaki mają wpływ na to, aby polska młodzież na emigracji rosła w poczuciu własnej wartości. Czytelnicy na emigracji są bardziej sentymentalni. Dla nich taki wieczór to okazja do przypomnienia sobie języka, postaci z polskiej historii i literatury oraz do spotkania się.

Wywiad pochodzi z portalu Kulturaonline:

http://kulturaonline.pl/joanna,sokolowska,gwizdka,-wszedzie,mieszkaja,ciekawi,ludzie,wywiad,tytul,artykul,-28258.html

Spotkanie brazylijskie – fotoreportaż

Uroczystość wręczenia Nagrody Literackiej Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie trzem pisarzom z Brazylii – prof. Henrykowi Siewierskiemu, Tomaszowi Łychowskiemu i księdzu Zdzisławowi Malczewskiemu, za propagowanie kultury polskiej w Brazylii i na świecie.

Ogrody Muzeum Historii Polskiego Ruchu Ludowego w Warszawie, 4 czerwca 2017 r.



Gospodarze wieczoru: (od lewej) Regina Wasiak-Taylor, sekretarz Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, ambasador Andrzej Krzeczunowicz, prezes Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie oraz dr Janusz Gmitruk, dyrektor Muzeum Historii Polskiego Ruchu Ludowego, fot. Jacek Gwizdka.



Muzeum Historii Polskiego Ruchu Ludowego mieści się w budynku według projektu Lanciego przy Al. Wilanowskiej 204 w Warszawie.



Wystawa prac jednego z laureatów Nagrody Literackiej, Tomasza Łychowskiego, fot. Jacek Gwizdka..



Wystąpienie Leonardo Cleavera de Athayde, Ministra z Ambasady Federacyjnej Republiki Brazylii, fot. Andrzej Sokołowski.



Wystąpienie dyrektora Muzeum Historii Polskiego Ruchu Ludowego, dr Janusz Gmitruka, fot. Jacek Gwizdka.

Laureaci Nagrody Literackiej 2016 Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie

Prof. dr Henryk Siewierski – absolwent i doktor Uniwersytetu Jagiellońskiego. W latach 1981-1985 prowadził wykłady z języka i kultury polskiej na Uniwersytecie Lizbońskim. W roku 1985 objął stanowisko profesora literatury na Universidade de Brasilia oraz dyrektora wydawnictwa tego uniwersytetu. W roku 2011 utworzył na tej uczelni Katedrę Cypriana Norwida, której zadaniem jest propagowanie literatury i kultury polskiej w Brazylii. Publikując eseje na temat polskich pisarzy i poetów, popularyzuje tam znajomość literatury polskiej, jej wielkość i różnorodność. Autor około stu artykułów i esejów literackich, głównie w języku portugalskim, a także szeregu książek, m.in. *Spotkanie narodów* (Paris 1984), *Jak dostałem Brazylię w prezencie* (Kraków 1998), *Historia da literatura Polonesa* (Brasilia 2000), *Outra linqua. Poemas* (2007, 2012), *Architektura słowa i inne szkice o Norwidzie* (Kraków 2012). Ostatnio wydał *Szkice brazylijskie* (Warszawa 2016). Henryk Sierwierski jest tłumaczem dzieł pisarzy i poetów polskich na język portugalski (Schulz, Norwid, Różewicz, Szymborska). Na język polski przetłumaczył m.in. wiersze Fernanda Pessoi.

Podczas uroczystości wręczenia Nagrody Literackiej Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, laudację wygłosiła Nina Taylor-Terlecka.



Prof. Henryk Siewierski podczas uroczystości wręczenia Nagrody Literackiej Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, fot. Jacek Gwizdka.



Prof. Henryk Siewierski podczas uroczystości wręczenia Nagrody Literackiej Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, fot Jacek Gwizdka.

Tomasz Łychowski – poeta, tłumacz, malarz. Urodził się w Angoli, w Afryce Portugalskiej. W roku 1938 przyjechał wraz z rodzicami do Polski. Kiedy wybuchła II wojna światowa, obydwoje rodzice włączyli się do konspiracji, wkrótce cała rodzina dostała się w ręce gestapo i została osadzona na Pawiaku, ale przeżyła. W roku 1949 Tomasz w wieku 14 lat wyjechał z rodzicami do Brazylii. Przyszły poeta ukończył studia w języku angielskim w brazylijskiej filli uczelni Cambridge. Pracował w oświacie i szkolnictwie wyższym, opracowywał programy nauczania, prowadził wykłady. Współpracował z czasopismem „Aproximacoes" (Zbliżenia), wydawanym przez

prof. H. Siewierskiego. Pisał także do pism polonijnych w Kurytybie i w Argentynie. Wielką pasją Tomasza Łychowskiego jest obok poezji malarstwo. Swoje obrazy pokazywał na wystawach w Ameryce Południowej, w Polsce i w Londynie. Wydał tomiki wierszy w językach portugalskim, angielskim i polskim, m.in. *Glimpses/Vislumbre*s (1996), *Voices/Vozes* (1998), *Encontros/Spotkania* (2006), *Skrzydła/Asas* (2008), *Recomeco* (2014), a w 2010 r. autobiograficzny tom prozy *Moja droga na księżyc.* Tłumaczy poezję Hartwig, Krynickiego, Lipskiej dla czasopisma Brazylijskiej Akademii Literatury.

Podczas uroczystości Tomasz Łychowski czytał swoje wiersze po polsku, a jego syn Rodrigo Łychowski po portugalsku. Laudację wygłosiła Aleksandra Ziółkowska-Boehm.



Tomasz Łychowski podczas uroczystości wręczenia Nagrody Literackiej Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, fot. Jacek Gwizdka.



Tomasz Łychowski podczas uroczystości wręczenia Nagrody Literackiej Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, fot. Jacek Gwizdka.

Ksiądz dr Zdzisław Malczewski TChr – urodził się w Nowym Brzesku k. Krakowa. W roku 1969 wstąpił do Towarzystwa Chrystusowego dla Polonii Zagranicznej. Święcenia kapłańskie w 1976 roku. Po uzyskaniu doktoratu na Uniwersytecie Poznańskim w roku 1979 przybył do Brazylii w celu realizacji misji zgromadzenia. W latach 1999-2009 był redaktorem naczelnym studiów polsko-brazylijskich „Projeções”, drukowanych w języku portugalskim w Kurytybie, a także założycielem półrocznika „Polonicus”, pisma rozsyłanego na

brazylijskie wyższe uczelnie i do wielu ośrodków kultury. W czerwcu 2009 roku objął funkcję rektora Polskiej Misji Katolickiej i rozpoczął wydawanie biuletynu „Echo Polskiej Misji katolickiej w Brazylii", który jest tam jedynym pismem wydawanym w języku polskim. Ksiądz Malczewski jest korespondentem Radia Watykańskiego, a także autorem książek *Obecność Polaków i Polonii w Rio de Janeiro* (Lublin 1995), *Słownik biograficzny Polonii brazylijskiej* (Warszawa 2000), *Polonii brazylijskiej obraz własny. Zapiski emigranta, 1979-2006* (Kurytyba 2007).

Ksiądz dr Zdzisław Malczewski nie mógł wziąć udziału w uroczystości. Laudację wygłosiła Aleksandra Ziółkowska-Boehm.



Aleksandra Ziółkowska-Boehm podczas wygłaszania laudacji, fot. Jacek Gwizdka.



Aleksandra Ziółkowska-Boehm podczas wygłaszania laudacji, fot. Jacek Gwizdka.

O przyznaniu Nagrody Literackiej Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie zadecydowało jury w składzie: Andrzej Krzeczunowicz, prezes ZPPnO; prof. Beata Dorosz, IBL PAN; ks. prof. Janusz Ihnatowicz, Houston, USA; ks. prof. Bonifacy Miązek, Wiedeń; dr Nina Taylor-Terlecka, Oxford; dr Aleksandra Ziółkowska-Boehm, Wilmington, USA.

Spotkaniu towarzyszył koncert muzyki brazylijskiej zatytułowany „Brasis: o Sonho »À fl or da pele«”. Wystąpili: Sérgio Silva – gitara klasyczna, Piotr Pisarewicz – bas i Tadeusz Stasiak – gitara klasyczna.



Koncert muzyki brazylijskiej, fot. Jacek Gwizdka.

Po części oficjalnej można było porozmawiać przy lampce wina oraz obejrzeć wystawę poświęconą brazylijskiemu poecie polskiego pochodzenia Paolo Leminskiemu „Powróciło moje polskie serce”.



Od lewej: prof. Andrzej Krzeczunowicz, Joanna Sokołowska-Gwizdka oraz przyjaciółka Związku Pisarzy Polskich z Londynu i Regina Wasiak-Taylor, fot. Jacek Gwizdka.



Joanna Sokołowska-Gwizdka w rozmowie z laureatem Tomaszem Łychowskim, fot. Jacek Gwizdka.



Joanna Sokołowska-Gwizdka w rozmowie z laureatem Tomaszem Łychowskim, fot. Jacek Gwizdka.



Joanna Sokołowska-Gwizdka w rozmowie z Niną Taylor-Terlecką, fot. Jacek Gwizdka.



Deszcz sprawił niemiłą niespodziankę, ale nie przeszkodził w uroczystości, fot. Jacek Gwizdka.

Bibliograf prasy emigracyjnej. Jan Kowalik (1910-2001).



Jan Kowalik z żoną, fot. arch. F. Śmieji.

Florian Śmieja

W Kalifornii 12 lutego 2001 roku zmarł po długiej chorobie Jan Kowalik czyli Jan Sławiczek ze Skoczowa. Pamiętam moje pierwsze spotkanie w San José, dokąd pojechałem chcąc poznać wspaniałego ziomka, człowieka-instytucję, mającego ogromne zasługi dla kultury polskiej, a zwłaszcza dla bibliografii

czasopism.

Kowalik urodził się w Skoczowie w 1910 roku, kształcił się w seminarium nauczycielskim, został nauczycielem i debiutował w prasie przed wojną. O historii swej edukacji napisał tak:

> W zasadzie, od dziecka począwszy, uprawiam samokształcenie. Formalnie ukończyłem Seminarium Nauczycielskie w Bielsku-Białej oraz jako eksternista Państwowy Kurs Nauczycielski w Mysłowicach i Krakowie. Na kilka lat przed wojną imatrykulowałem się jako student zaoczny na Jagiellonce w Krakowie (Historia u Dąbrowskiego, i Psychologia u Heinricha) dojeżdżając z Mikołowa do Krakowa pociągiem kilka razy w tygodniu, ale zabawa skończyła się gruźlicą, i musiałem przerwać studia, nie kończąc niczego. Mogłem edukację formalną dokończyć kiedyś po wojnie, ale zająłem się dokumentacją z nakazu zapotrzebowania społecznego, i rezygnując z zaszczytnych tytułów naukowych. Uczę się jednak dalej…

Po wojnie Amerykanie oswobodzili go z niemieckego obozu pracy. Najpierw był pacjentem sanatorium dla chorych na gruźlicę a następnie jego administratorem. Potem został komendantem obozu dla uchodźców. Wyjechał do Stanów Zjednoczonych w 1950 roku, a dwa lata poźniej osiadł w

Kalifornii.

Jeszcze w Niemczech założył tygodnik „Polak w Waldeck” i współpracował z „Ostatnimi Wiadomościami”, „Słowem Katolickim” i „Kroniką”. Wydał zbiorki wierszy „Ścieżka przez Steinatal” (Monachium 1947) i „Wiatr w gałęziach” (Monachium 1948). W tym też czasie zainteresował się bibliografią, tak że do USA wiózł już bogate archiwum.

Jego życie było pełne utrapień, ustawicznie musiał baczyć na stan zdrowia. W liście z roku 1959 wspomina kurację sercową przeprowadzoną w Niemczech, kilka lat później, w 1963 skarży się, że ma:

> […] dużo pracy, ciągłe chorowanie, a ostatnio przeprowadzenie się do nowego miejsca zamieszkania, czyli przenoszenie kilku tysięcy książek i roczników prasy mego „Polish Emigré Press Archive”, budowanie na nowo półek bibliotecznych, katalogowanie, oprawianie, itd. itd., co przy moim stanie zdrowia było wyczynem omalże Herkulesowym.

Borykając się ponadto przez cały czas z kłopotami finansowymi poświęcił długie życie dokumentacji historyczno-bibliograficznej Polaków rozproszonych po świecie. Dziesięciolecia wytrwałej pracy zaowocowały szeregiem publikacji bibliograficznych z

sześciotomową bibliografią czasopism polskich wydanych poza granicami Polski od września 1939 roku na czele. Cenzura PRL-u szczególnie długo przetrzymała piąty tom. Skarżył się Kowalik w jednym z listów:

> […] piąty tom mojej bibliografii prasy leży w KULu, to znaczy u wydawcy od przeszło roku, i cenzura odkryła nagle, że ta biedna najsuchsza ze suchych książek, szkodzi politycznie Polsce Ludowej i stawiają coraz to nowe żądania odnośnie zmian tekstu.

Dziś to monumentalne dzieło dokonane przez jednego człowieka, a wydane przez Katolicki Uniwersytet Lubelski w latach 1976-88 stanowi zasadniczy fundament naszej wiedzy o przedmiocie. Ciężka choroba Kowalika utrudniała mu ukończenie szóstego tomu, a tysiące pozycji bibliografii polskiej diaspory czekało na opracowanie. *Bibliografia to bardzo niebezpieczne zajęcie, bo jak się raz zacznie, to później bardzo trudno skończyć*, zwierzył się kiedyś.

Już w Stanach Zjednoczonych Kowalik pełnił funkcje redaktora pism „Polak w Kalifornii" i „Migrant Echo". Publikował m.in. w paryskiej „Kulturze" i torontońskim „Związkowcu". Otrzymał nagrody Alfreda Jurzykowskiego (1968) i Anny Godlewskiej (1973). Kontynuował również zamiłowania literackie wydając

wiersze „U drzwi Twoich” (Paryż 1985), a w Albany, USA, „Exsul familia” (1983), „Zatrzymać czas” (1987), „Zapis w kalendarzu” (1989) oraz prozę „Krzyż Malika” (1985). Jako czwarta pozycja lublińskiego „Akcentu” wyszły jego „Wiersze wybrane”. To duża satysfakcja doczekać wydania wierszy w Polsce, tam gdzie znajduje się właściwy czytelnik,. Bo każdy emigrant, który nie z własnej woli znalazł się na obczyźnie, pragnie dotrzeć do odbiorcy w rodzinnym kraju.

Poezje Kowalika mówią przede wszystkim o tęsknocie do swoich stron i drogich osób. Są proste, ciepłe, ludzkie. Nie potrzebują reklamy, nie epatują techniką. Skromne i szczere doskonale oddają niełatwe zgodzenie się na poniewierkę, na sytuację bezprzydziałowego tułacza, któremu „wycieka z żył/ nadzieja”. Poeta hołubi romantyczne wartości bez żenady, szuka w końcu ojczyzny uniwersalnej, przejścia „przez inne drzwi”:

> do Polski tej wiekuistej
>
> jasność oglądać Bożą

Na początku tej drogi były inne momenty. Jedną z ciężkich rozterek utrwalił wiersz „Korespondencja”. Twarda konieczność czasów zimnej wojny sprawiła, że słowa kochanej osoby „stamtąd”, które najpierw brzmiały – „Kocham…czekam…Kiedy”

z czasem zamieniły się w „Pamiętam, nie czekam, rozumiem”.

Wydawać by się mogło, że znalazłszy się w Kalifornii emigrant nie będzie już niczego potrzebował. Ta pożądana przez tak wielu ludzi ziemia, owszem, objawia się Kowalikowi w całej swej krasie, ale on tym niemniej wzdycha:

> Żeby tak jeszcze
>
> kilka taktów skowronka

W innym utworze napisze:

> Tylko z oczyma źle:
>
> patrzysz na Santa Cruz mountains
>
> a widzisz
>
> Beskid

Przetrwać w obcym krajobrazie i wśród innych ludzi pozwala

łatwiej nowy dom odpowiednio przystosowany i oswojony.

Pisze poeta:

> Ogrodzę cię kołem grzybów
>
> Psem legnę na wspomnieniach.
>
> Polskę tu swoją założę!

Nieustająca miłość do Polski, ten przysłowiowy już i może mało przez nowe pokolenia zrozumiały patriotyzm ludzi urodzonych między wojnami, nie jest ślepy. Poeta zdaje sobie sprawę ze złych cech swoich rodaków mówiąc „Ojczyzno, czas ci się zmienić”. Dumny jest z tego, że w życiu nie szukał majątku, nie biegł tam, gdzie jest dostaniej. Bo „chociaż rozkazy przebrzmiały,/sztandar nam oczy przesłania/ nadzieja rozumy”. Pociesza się, że

> Legenda nas kiedyś uskrzydli.
>
> Tymczasem –
>
> Jak każdy pomnik –

> Truje nas grynszpan niezgody,
>
> Rdzawi nas czas…
>
> Także tę wolność
>
> Psiakrew!!
>
> Naszą i waszą.

Gorzkie słowa, które, niestety, nie tylko na emigrację, ale na całą polską rzeczywistość rozciągnąć można. Myślę, że tak już inni, młodsi poeci poza krajem tęsknić nie będą.

Redaktor torontońskiego półtygodnika Benedykt Heydenkorn nazwał Kowalika „świeckim patronem prasy emigracyjnej”. Pamiętam apele Kowalika drukowane w emigracyjnych pismach o zachowanie „starych papierzysk”:

> …nie bądźcie bez serca dla tych pożółkłych biuletynów obozowych, nadgryzionych gazetek polowych i zleżałych płacht polonijnych tygodników. Taż to część Ojczyzny, która za Wami szła, i z Wami zostaje. Nie telefonujcie zaraz po śmieciarza. Pomyślcie, że „Polska to wielki zbiorowy obowiązek”, w którego spełnieniu możecie właśnie

> dopomóc.

Odszedł jeszcze jeden z wielkich zasłużonych emigracji niepodległościowej do końca swojej ziemi wierny.